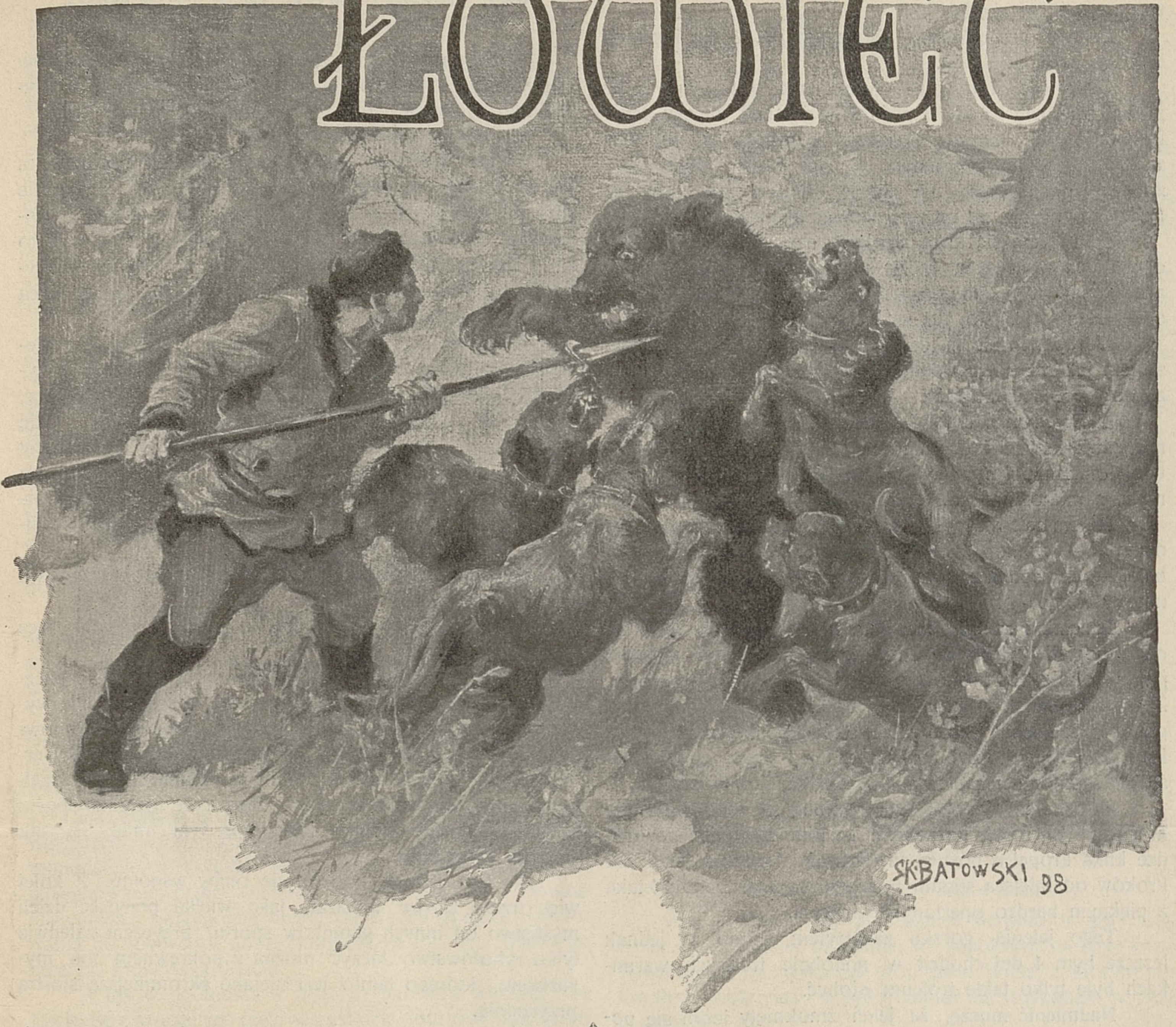
Nr. 21. Lwów, 1. listopada 1905. Rok XXVIII.

ŁOWIEC



Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Wspomnienia z gór.

I znowu minął rok jeden spędzony przeważnie przy biórku, i znowu rozbrzmiewa najpiękniejsza dla ucha myśliwego muzyka, potężny ryk króla gór naszych, wyzywający rywala do walki.

Niestety, w Peczeniżynie przy biórku a chociaż by nawet i w lesie tutejszym, nie usłyszeć go, i zamiast niego słyszę rankiem i wieczorem wabienie się kuropatw w ogrodzie, które chyba nieco mniejsze wrażenie sprawia na mnie.

Lecz słuchając tego wabienia przez okno i patrząc na okoliczne góry, przenoszę się myślą w najpiękniejszą okolicę jaką w ogóle znam w naszych górach, t. j. do Rafajłowy i w jej dziewicze ongiś lasy — dziś już przetrzebione a częścią zupełnie wycięte — i widzę przed sobą wszystkie obrazy żywe i przechodzę w myśli wszystkie najpiękniejsze nie tylko chwile, lecz dni i tygodnie przebyte po lesie, po połoninach podczas rykowiska.

Prawda, że dawniej gdy jeszcze nie było ani ścieżek podchodowych, ani domków po lesie, najlepiej i najprzyjemniej nocować było pod świerkiem, czasem jednak podczas deszczu lub burzy z śnieżycą, trzeba było koniecznie chować się do koliby, no a noc tam pomiędzy milionami czarnych maleńkich niespokojnych zwierzątek spędzona, nie należała wcale do przyjemnych, to też wiele razy wolałem zmoknąć i zmarznąć, aniżeli oddać się na pastwę tym krwiożerczym i nienasyconym owadom.

Myśliwy jednak wszystko znieść potrafi, a dopomaga mu w tem nadzieja podejścia, zobaczenia no, a może i nie chybienia tego niedaleko ryczącego rogala, którego po głosie ocenia się co najmniej jako 16-taka lub nawet 18-taka.

Przypominam sobie takie podczas słoty 4 dniowe nocowanie i łażenie za jeleniem przy końcu rykowiska

kiedy jak wiadomo, jeleń już nie pozostaje na miejscu lecz raz po raz chodzi.

Za tym więc jeleniem chodziłem już 3 dni i trudno było go zajść na strzał.

Czwartego dnia rano ryczał pod połoniną i zaraz począł schodzić na dół a później w poprzek uboczy dążył ku węgierskiej granicy. Pędziłem poprostu za nim ślad w ślad, aż na raz usłyszałem go już bardzo blizko, lecz zobaczyć nie mogłem. Za chwilę odezwał się znów raz i zdawało mi się, że na tem samem miejscu.

Posunąłem się kilka kroków dalej i stanąłem przed ogromnym wywrotem, który mi zasłaniał dalszy widok a obok którego jeleń przeszedł i jeszcze raz się odezwał o ile mi się zdawało, tuż za tą barykadą.

Wdrapałem się na dość wysoki pniak i znowu usłyszałem jak raz bardzo słabo ryknął przedemną, a jednak zobaczyć go nie mogłem.

Za wywrotem było jeszcze więcej starych połamanych świerków, z których suche gałęzie sterczały. Między tymi łomami położył się jeleń może na 30 kroków odemnie, a mimo tego zobaczyć go nie mogłem.

Stałem tak może z 10 minut, rogal się więcej nie odzywał — ponieważ mnie zobaczył — najprawdopodobniej — aż raptem zerwał się i jak strzała pomknął pomiędzy łomy.

Strzeliłem za nim, lecz kula musiała gdzieś odbić się od mnogich gałęzi, zmieniła kierunek i jeleń poszedł jeszcze około 100 kroków w susach i zniknął mi w gąszczu. Za chwilę jednak pokazał się zupełnie wolno idąc pod górę, w oddaleniu około 150 kroków, posłałem mu drugą kulę, po której skoczył jak oparzony i przez chwilę słyszałem łomot uciekającego, poczem nastąpiła cisza.

Zaczekałem jeszcze kilka minut, a zmarznięty nie mogąc dłużej ustać, poszedłem za nim znajdując po drodze kilka kropel a później już kawałki farby i o jakie 100 kroków od miejsca strzału rozciągniętego grubego 14-taka z pięknym bardzo operlonym wieńcem.

Tego jelenia gorżko zasłużyłem, mimo to jednak jeszcze bym 4 dni chodził w podobnie trudnych warunkach byle tylko takie trofeum zdobyć.

Nadmienić muszę, że jeleń zmoknięty jeżeli się położy między połamane, wywrócone, z kory opadłe świerki, na których masa suchych gałęzi sterczy i zachowuje się spokojnie, jest bardzo trudny do rozpoznania, co wielokrotnie stwierdziłem i niejednego przez to straciłem.

W bieżącym miesiącu byłem krótki czas w Rafajłowie, gdzie opowiadali mi strażnicy, iż obecnie jest znacznie mniej jeleni grubych — pomimo, iż odstrzelono tylko kilkanaście sztuk w przeciągu lat 5 i to nie kapitalnych — natomiast jest bardzo wiele łań starych i młodych, a więc stosunek nader nie odpowiadający proporcyi.

Również opowiadano mi, że ogromna ilość wilków, którymi się nikt nie zajmuje — niszczy i niepokoi stan jeleni, a także personal wiecznie ścieżkami podchodowemi się snuje, zwłaszcza przed rykowiskiem, no i tem wcale do spokoju się nie przyczynia. Personal ten sprowadzony, względnie ustanowiony przez Jego Cesarską Wysokość Ottona, składa się z ludzi obcych.

Peczeniżyn, we wrześniu 1905.

Martyniec.

Czy myśliwstwo jest sportem?

Nad pytaniem tem zastanawia się jeden z autorów niemieckich z okazyi wydania książki H. Graezera o psychologii myślistwa, dając na to odpowiedź następującą:

Co znaczy właściwie „sport“?

Podług definicyi językowej tego wyrazu angielskiego, jest to pojęcie, określające zabawę, rozrywkę, a głównie grę, uprawianą na wolnem powietrzu, a związaną z ćwiczeniami cielesnemi. W szerszem znaczeniu obejmuje to także dążność jednostek lub liczniejszych osób do zdobywania pierwszeństwa w zapasach z rywalami za pomocą szczególnej zręczności.

Bywa też często, że i w rozmowie potocznej, i w niektórych książkach zawodowych mówi się i pisze o wszystkich rodzajach sportu, łącząc w jedno i jazdę konną, i pływanie, i wiosłowanie, i gimnastykę, i fechtunek, i jazdę na rowerze, i myślistwo. Wszakże prawdziwie poważny myśliwy doznaje niemiłego wrażenia, słysząc o takiem upośledzeniu myślistwa, zaliczonego do zwyczajnych sportów jedynie. Należy więc zbadać przyczynę i usprawiedliwienie tego uczucia mimowolnego.

Zwróćmy najprzód uwagę na stopień pokrewieństwa między sportami.

Oczywiście, wszystkie one są sobie pokrewne, lecz o ile i jak dalece?

Łączy je tylko pewne, mniejsze lub większe niebezpieczeństwo, zawarte w danej czynności, a którego przezwyciężenie przy rozwoju i hartowaniu sił cielesnych, stanowi zabawę i użytek wszelkiego ćwiczenia sportowego. Stwierdzamy dalej jeszcze oznakę wspólną, wymaganą we wszelkich czynnościach sportowych: żeby owe gatunki sportu odbywały się na wolnem powietrzu i nie miały na celu zarobku pieniężnego.

Na tem jednak kończą się cechy wspólne. Z kolei więc trzeba znowu wskazać, jaka wielka przepaść dzieli myślistwo od innych gatunków sportu, przyczem zaledwie tylko rybołówstwo łączyć można z pokrewnem mu myślistwem, którego tamto jest niejako skromniejszą siostrą przyrodnią.

Łowiectwo polega na zupełnie innej zasadzie, niż różne rodzaje sportu. Motywem głównym myślistwa jest pragnienie zdobyczy, odziedziczone po przodkach i wywołane przez instynktowną walkę o byt, albo też, jak inni twierdzą, jest nim wpływ wrodzonego człowiekowi popędu niszczenia. Obydwa te instynkty tkwią w nas w surowej postaci pierwotnej; są one dziedzictwem po naszych praojcach.

O ile okoliczności nie zmuszają nas do bezwiednego zadawalniania tych popędów, drzemią one w każdej piersi ludzkiej, oczekując jedynie bodźca i sposobności do wybuchu. Myślistwo nasze jest zatem uszlachetnionym sposobem zadawalania tego popędu przyrodzonego przy pomocy własnej siły uobyczajonej; stało się ono tem, czem jest obecnie, przez wpływ wielu wieków kultury.

Z tej więc przyczyny, jeżeli pominiemy myśliwych zawodowych, polujących dla interesu, prawdziwe zamiłowanie, jakiem odznaczają się wykształceni zwolennicy myślistwa, zasługuje na wyjątkowe, odrębne stanowisko, gdyż jest związane z wielu dążnościami moralnemi i etycznemi.

O wyróżniającem się znaczeniu myślistwa przekonywamy się szczególnie, gdy uwzględnimy warunki, wymagane

przy uprawianiu łowiectwa w porównaniu z różnemi sportami. Podczas gdy bowiem przy wskazanych wyżej gatunkach sportu, przeważnie wszystko zależy od siły cielesnej, zręczności i pewnej rozwagi, oraz od trzymania się stałych reguł i przepisów, to myślistwo wymaga przedewszystkiem hartu duchowego i prawidłowej umiejętności kombinacyjnej. Wymaga ono też nader wielkiej i rozległej wiedzy przyrodniczej; trudno bowiem nazwać myśliwym tego, który uprawia jedynie strzelaninę w myślistwie. Taki właściwie zajmuje się tylko sportem strzeleckim, a nie łowiectwem, co, nawiasem mówiąc, ludzie obecnie mieszają często z sobą niesłusznie, a nawet, co gorsze, identyfikują.

Czy to nie są dostateczne powody do wyłączenia wogóle myślistwa ze zbiorowego pojęcia nazwy „sport“?

Już tylko powierzchowny, krótki rzut oka na dzieje narodów przekonywa, że myślistwo ma o wiele pierwotniejsze pochodzenie, niż którakolwiek gałąź sportu.

Biblia nazywa Nemroda, owego wielkiego mocarza wschodniego za czasów przedchrystusowych, „potężnym łowcem przed Panem“. W państwie spartańskiem w czasie prawodawstwa Likurga, kiedy uprawiano głównie ćwiczenia żołniersko - techniczne, spotykamy wielkorządcę kraju na polowaniu.

Podobnież na Helladzie, gdzie zresztą każdy rodzaj sportu dosięgał wysokiego stopnia rozwoju, jak o tem świadczą igrzyska olimpijskie, — myślistwo było najpierwotniejszą zabawą.

Germanowie byli za dawnych czasów narodem myśliwskim, a Rzymianie uprawiali łowiectwo na swych rozległych ziemiach, zdobywanych w różnych stronach świata.

Za czasów wojen krzyżowych i rycerstwa średniowiecznego sztuka polowania doszła była do rozkwitu wspaniałego. I później miała czasy prawdziwie świetne, pielęgnowana przez wielkich panów, królów i książąt udzielnych. Szczególnie odznaczał się na punkcie zamiłowania do łowiectwa dom Habsburgów, aż do obecnego cesarza, Franciszka Józefa.

A jak w ogólności w historyi narodów widzimy, że łowiectwo kroczy na czele wszystkich sportów, tak samo w życiu jednostek spotykamy chęć nieprzepartą do polowania już w najwcześniejszych latach. Przypomnijmy sobie tylko wiek dziecięcy, kiedyśmy z niezwykłą namiętnością łowili chrabąszcze, motylki, jaszczurki; gdy jako chłopcy, najgoręcej życzyliśmy sobie otrzymać na imieniny trąbkę myśliwską lub strzelbę; gdy wreszcie środkami prymitywnemi robiliśmy proce i różne przyrządy do wyrzucania pocisków, oraz łuki i strzałki, któremi wprawialiśmy się w strzelanie, szczęśliwi, gdy nam się udało zaledwie ubić wróbelka.

Później, o wiele później i dopiero bardzo powoli przez zaprawianie się stopniowe i wyuczenie, zjawia się chęć dla gimnastyki, ślizgawki, jazdy na rowerze i t. d.

Łowiectwu nadano, jako piętno, *Epitethon ornans*, nazwę „rycerskiego“ zajęcia, w uznaniu jego znaczenia szlachetnego, a najfałszywiej umieszczono je w rzędzie rodzajów sportowych.

Przytem myślistwo jest zajęciem umiłowanem, któremu pozostaje się wiernym na zawsze. Z jednej strony już w dzieciństwie wywołuje ono w nas ożywione bicie serca, a z drugiej pozostaje przy nas do późnej starości.

Jeżeli wogóle każda gałąź sportu często traci powab już w młodym wieku, a dojrzałemu, człowiekowi rzadko kiedy tylko towarzyszy do czterdziestego roku życia, i z każdym rokiem słabnie nałóg do uprawianego sportu, — to przeciwnie, łowiectwo w wieku męzkim ma dla nas urok najpiękniejszy, ponieważ wtedy powaga, spokój i doświadczenia są najlepszymi przewodnikami w uprawianiu myślistwa.

A gdy nadchodzi już zima życiowa, to nigdy ona nie może pozbawić starzejącego się człowieka tej silnej chęci do polowania, która nie słabnie z przyrostem brzemienia lat, gdyż nawet siwi ludzie stosunkowo dużo jeszcze znajdują przyjemności w polowaniu.

Na polowaniach siwe głowy i białe brody są typem częstym i zawsze chętnie witanym, przedstawiając nam moc żywotną łowiectwa, odmładzającego, elektryzującego, które długo przechowuje uczucie zadowolenia i radości u uprawiających myślistwo.

Zamiłowanie do łowiectwa, to jak wierna miłość która nigdy nie ustaje i nigdy się nie starzeje.

(Łowiec polski.) *J. K.*

Z obcych światów.

TEODOR ROOSEVELT.

Łowy w amerykańskiej puszczy.

(W wyjątkach).

(Ciąg dalszy).

Zwierzyna górska; biała koza.

Raz wybrałem się pod koniec sierpnia w góry Big-Hole, w zachodniej Montanie, by zapolować na białe kozy. Towarzyszył mi przyjaciel mój, John Willis, z którym polowałem wiele razy, a który umiał się doskonale wyznać w górach.

Gościniec skończył się w małej, błotnistej wiosczynie, Dwide, gdzie najęliśmy konie i wóz u podupadłego farmera, którego miano za mormona. Wóz był w dość dobrym stanie, lecz uprząż była porwana tak, że trzeba ją było pozwiązywać sznurkami, a dwa nędzne koniska jakkolwiek wychudzone z pracy, okazywały jednak pełno grymasów, skoro się ujrzały u wspólnego dyszla.

Na takie drobnostki atoli jest się nieczułym na pograniczu a Willis nietylko powoził wprawnie, lecz umiał sobie dać radę w najrozmaitszych wypadkach i posiadał praktykę tak niezawodną, jaką tylko stary pogranicznik mieć może.

W drodze doświadczenia poznał równinę i las; odznaczał się wprawą, której wymaga życie nad granicą.

Dwa dni jechaliśmy powoli, pocztową drogą, przez dolinę rzeki Big-Hole. Noc przepędzaliśmy pod wozem. U ujścia rzeki była dolina wąwozem, ale im wyżej pięliśmy się, tem więcej rozszerzała się, dopóki rzeka nie zwróciła się na obszerne, pagórkowate, bezdrzewne preryе.

Po obu stronach wznosiły się góry; ich stoki i przedgórza pokrywał wiecznie zielony las.

Mleka i chleba dostaliśmy w rozrzuconych domkach farmerów, aby zaś otrzymać mięso, strzelaliśmy kury preryjne, bardzo liczne.

Żywiły się one wówczas szarańczą, a mięso ich, szczególnie młodych, było bardzo delikatne i wyborne w smaku; gdyśmy jednak wracali we wrześniu przez tę dolinę, uznaliśmy kury te za niejadalne, gdyż wskutek spożywania piołunu zupełnie zgorżkniały. Jak wszystkie kury są one przy nastaniu deszczów daleko ufniejsze, niż później, w zimie jednak stają się bardzo płochliwe; najmniej trwożliwe są rozumie się tam, gdzie się na nie najmniej poluje, ale z niewyjaśnionego powodu okazują zawsze więcej ufności, niż kury o spiczastym dzióbie, które przebywają w tej samej okolicy.

W końcu przybyliśmy w pobliże pobojowiska, na którem pomnik z grubo ciosanego kamienia przypomina krwawą potyczkę między żołnierzami generała Gibbona a wojownikami Nez Percé, dowódcy Józefa. Tutaj w trzecim dniu naszej podróży opuściliśmy drogę i zwróciliśmy się ku górom, jadąc ledwie dostrzegalną, przez drwalów wydeptaną ścieżką.

Przeciwności, które łączą się z podróżą przez preryę, dały nam się zbyt obficie we znaki a pod wieczór ugrzązł nasz wóz przy przeprawie przez płytki potok w mule.

Namyślaliśmy się, czy przeprawę tę mamy przedsiębrać i słusznie, gdyż już przy drugim kroku zaryły się konie po brzuchy w mule i nie mogły się wydobyć.

Było przenikliwe zimno, dął ostry wicher a namuł był pokryty cienką, lodową skorupą tak, że zużyliśmy dwie ciężkie godziny z okładem, nim wyciągnęliśmy konie i przeprawili wóz.

Ale wkońcu byliśmy na drugim brzegu; mój towarzysz zachował wśród tego wszystkiego najzupełniejszy spokój i nieustannie gwizdał aryę z „Podróżującego w Arkanzas“.

Wieczorem rozbiliśmy obóz w wierzbowych wiklinach nad małym potokiem.

Na paliwo wzięliśmy zbutwiałą wierzbinę, która gorzała jasnym, ale szybko gasnącym płomieniem, a ponieważ było coraz zimniej, natychmiast po spożyciu wieczerzy owinęliśmy się w nasze dery.

Klimat gór Big Hole równa się klimatowi Alp; jakkolwiek mieliśmy dopiero 20. sierpnia, spadł termometr tej nocy na 10^0 F.

Rano nazajutrz zwinęliśmy obóz a nakładając koniom sztywną od mrozu uprząż, trzęśliśmy się ze zimna.

Wkrótce przybyliśmy do przedgórza, gdzie las był otwarty i wielkiemi polankami poprzecinany tak, że tworzył okolicę do parku podobną. Im wyżej jechaliśmy, tem mniejsze stawały się polanki a las gęstszy; zaczęło już być trudno dalej jechać wozem. Na wielu miejscach musiał jeden z nas iść naprzód, by szukać drogi i w razie potrzeby siekierą ją torować, podczas gdy drugi prowadził wóz jego śladami.

Wkońcu zatrzymaliśmy się i rozbili obóz obok szemrzącego, gęstemi olchowemi zaroślami otoczonego strumyka, na najwyżej położonej polanie, okolonej górami i nieprzebytym lasem iglastym. Nasz namiot stał tuż przy strumyku u podnóża jodeł; wieczorem gorzał przed nim ogień, z trzaskających, żywicznych pni. Mienie nasze mieścił częścią wóz, częścią przykrywało je żaglowe płótno; nazbieraliśmy wonnej jodłowej darni, aby z niej urządzić podkład na nasze łoża i urządziliśmy małe wzniesienie, aby na niem suszyć mięso jelenie i wapitich.

W przeciągu kilku godzin otoczyliśmy się różnorodnemi wygódkami, które można mieć w takiem obozowisku wśród puszczy.

Kto długo wałęsał się i polował w puszczy, będzie sobie zawsze ze skrytem zadowoleniem przypominał te niezliczone obozowiska, w których przebywał; obóz nad brzegiem przejrzystego, skałami otoczonego jeziora, obóz w ciemnym, melancholijnym lesie, gdzie burza wśród wycia przeciąga przez wierzchołki wysokich jodeł, obóz u podnóża gałęzistych topoli, nad brzegiem prawie wyschłej rzeki, wśród bezgranicznej, trawą porosłej preryi — a wszystko miało swój właściwy urok.

Rozumie się, że na polowaniu trzeba być przygotowanym na twardy wysiłek i częste niepowodzenia, a nieraz niepogoda, brak ochrony, głód, pragnienie i niepowodzenie w łowach nie czynią dni i nocy przyjemnemi ani też wygodnemi.

Ale myśliwy, godny tego miana, jeżeli chce zażyć przyjemności łowieckiej, znosi cierpliwie wszystkie przeciwności a umieszczając na jednej szalce pomyślne, a na drugiej niepomyślne wyniki, pogardza biednymi profanami, którym obce są te wrażenia.

Spętawszy jednemu koniowi przednie nogi, puściliśmy oba wolno, a ponieważ nie zatroszczyliśmy się o nie przez kilka dni, zawdzięczaliśmy odszukanie ich tylko wprawie mego towarzysza w odnajdowaniu śladów.

Powietrze było ciepłe i zwabiło liczne psie muchy, które konie a nawet człowieka mogą przywieść do szaleństwa; znajdowaliśmy się we właściwym rejonie, tych obawę wzbudzających, strasznych trapicieli, co uniemożliwiają aż do początku sierpnia, tam gdzie są w wielkiej ilości, trzymanie jakiegokolwiek bydła bez środków ochronnych, lecz po pierwszym mrozie nie są niebezpieczne. We wielu rejonach puszczy plaga ta i liczne nie do uwierzenia roje moskitów, kłujących much i bawolich komarów wprost zatruwają życie w ostatnich tygodniach wiosennych i w pierwszych miesiącach letnich.

W okolicy były wapiti i jelenie, również jarząbki, kury leśne i niebieskie tak, że obóz nasz był obficie zaopatrzony w zwierzynę.

Pewnego poranku, gdy Willis mył się w potoku, wytknął łeb mały czarny niedźwiedź z pomiędzy olch, odległych odeń o parę kroków, lecz cofnął się jak najszybciej i nie pokazał się więcej.

Mniejsze zwierzęta okazywały więcej zaufania. Jak to w górach na północy zwykle się dzieje, porobiły szare sojki gniazda w obozie; przy sposobności odwiedzały nas roje czarnych sikorek; rodzina latających wiewiórek żyła na gałęziach nad nami a wieczorem przelatywały bez szmeru z drzewa na drzewo, zakreślając wdzięczne łuki. Wróble najrozmaitszych odmian tłumiły się w zaroślach olchowych, a od czasu do czasu wydobył który z nich parę słodkich tonów, brzmiących skargą.

Poczyniwszy po upływie kilku dni wstępne przygotowania, wybraliśmy się pieszo na polowanie na białe kozy.

Nie wzięliśmy z sobą bagaży, lecz każdy niósł tylko swą kurtkę, w której kieszeniach była sól i chleb. Zamierzaliśmy dotrzeć do gromady wysokich, nagich skał, przejść je i wrócić do obozu i obliczaliśmy, że wycieczka ta zajmie trzy dni. Cały pierwszy dzień szliśmy przez gęsty las i przez strome, skaliste wierzchołki, albośmy je okrążali. Widzieliśmy kilka sztuk zwierzyny, parę wapitich, wyrosłe sztuki albo cielęta, lecz nie zadaliśmy sobie trudu, by je podejść.

Dobrze po południu natknęliśmy się nagle na stadko kur leśnych, które dostarczyły nam wieczerzy i śniadania.

Górale nazywają te głuszce tumanami a zasługują one na to miano w zupełności.

Członkowie tej właśnie gromadki, składającej się z kury i w trzech czwartych z wyrosłych kurcząt, zachowywali się tak głupowato, jak nawet u tych stworzeń nie zwykle się dzieje.

Pasły się na ziemi, między kilku młodemi jodłami, zerwały się przy naszem zbliżeniu i zapadły na gałęziach cztery lub pięć stóp nad nami. Wydawały ciche głosy, brzmiące skargą i nie zdradzały najmniejszej podejrzliwości, gdyśmy do nich przystąpili z długimi kijami, którymi cztery z nich strąciliśmy na ziemię — nie chcieliśmy bowiem strzelać, by nie spłoszyć innej zwierzyny, która mogła się znajdować w pobliżu. Jedną kurę zasłoniły przed uderzeniem gałęzie, ale uleciała zaledwie kilka metrów i zawisła znowu z otwartym dziobem, — widocznie uszkodzona, dopóki nie zbliżyłem się i lepiej wymierzonem uderzeniem nie strąciłem jej na ziemię.

Kury leśne są w górzystych lasach północnych gór skalistych bardzo liczne a dając się łatwo ubić, dostarczały mi regularnie pożywienia, gdy podobne wycieczki podejmowałem bez pakunków. Okazują one dziwną ufność a raczej głupotę.

Ja podobnem uderzeniem kija ubijałem tylko młode kury, ale jeżeli kto umie celnie rzucić kamieniem, może w ten sposób ubić nawet starego koguta.

Kto często grał w base-ball, nie potrzebuje strzelby przy polowaniu na kury leśne.

Są one najmniejsze w kurzym rodzie, kogut jest bardzo ładny, ma nad oczyma czerwone róże i ciemne, świecące upierzenie.

Zresztą jest o tyle waleczny, o ile jest głupi i ładny; w czasie toków jest zupełnie nieprzytomny, gdy się nastroszy, bije skrzydłami i rozburzy pióra, robi wrażenie, jak gdyby był gotów zaatakować człowieka.

Mięso ich nie jest tak dobre, jak jarząbków i kur niebieskich, a szczególniej niesmacznem jest w zimie, gdy żywią się jodłowemi gałązkami.

Nie mogłem nigdy zrozumieć, dlaczego dwa tak blisko spokrewnione gatunki, w tych samych pozornie warunkach, tak się zasadniczo różnią w tak ważnych rysach, jak przezorność i zdolność uchodzenia przed nieprzyjacielem a jednak stanowi kura leśna dyametryalne przeciwieństwo w tym względzie z jarząbkiem i kurą niebieską. Rozumie się, że zachowanie się wszystkich trzech rodzajów zmienia się wedle tego, w jakiej przebywają okolicy i czy je człowiek prześladuje, czy też nie.

Jarząbek, ptak ostrożny nadzwyczaj w od dawna zamieszkałych połaciach kraju, jest w puszczy ufny aż do idyotyzmu, tak, że nawet kura leśna, gdy jest ściganą, rozwija więcej chytrości, lecz nigdy nie jest tak ostrożną, jak jarząbek, gdyż nigdy jarząbka nie można podejść w tak prosty sposób, jak jego głupowatego brata. Taka sama różnica zachodzi między kurą stepową a preryjną, i to na korzyść tej ostatniej.

Dziwnem jest, że największy i najmniejszy gatunek kuraków, żyjących w Stanach Zjednoczonych, jest najwięcej łaskawym a równocześnie najmniej smacznym.

(C. d. n.)

Korespondencye.

Wysuczka 5. października 1905.

Po 35 latach niebytności w rodzinnych stronach, wybrałem się raz na zaproszenie kuzyna swego, Piotra Mycielskiego w góry sanockie na rykowisko jeleni, których za moich czasów tam nie było a które obecnie rozmnożyły się dosyć licznie.

Myślałem, że po 35 latach nie poznam moich rodzinnych stron, myślałem, że cywilizacyjna misya autonomii naszej zaznaczyła pochód swój i w tym najodleglejszym zakątku kraju naszego i zbliżyła go do wymogów europejskich, zwłaszcza, że i mieszkańcy gór pod Beskidem płacą dodatki do podatków i mają równe prawa z mieszkańcami nizin, jakiegoż jednak rozczarowania doznałem, widząc to samo co przed 35 laty zostawiłem, mianowicie ten sam lud dziki, pozbawiony cywilizacyi o długich, masłem w święto wysmarowanych włosach, widząc te same drogi, któremi woziłbym pilnych marszałków powiatowych, aby ich zachęcić do tem gorliwszego zajmowania się wygodami obywateli, płacących jednakowo jak i na równinach dodatki do podatków. Mimowoli i na każdym kroku przychodził mi na myśl nasz nieoceniony i czcigodny marszałek powiatowy hr. Mieczysław Dunin Borkowski, który wszystkie siły wytężył, aby naprzód nie obciążać mieszkańców powiatu jego dodatkami, a z drugiej strony dać im komunikacyę taką, jakiej drugiej w kraju nie znajdzie. Gdyby nasz marszałek powiatowy miał ten materyał do budowy dróg, który jest w górach, mieszkańcy powiatu jego jeszcze o połowę mniej t. j. nie 10 ale $9^1/_2$ centa płaciliby dodatków do podatków i mieliby drogi Tyrolu, Styryi i Krainy. Miserere można dostać, jadąc drogą komunikacyjną wzdłuż 7 kilometrów długiej wsi Smolnik, a już droga przez Wolę michową przez lasy, wieś Babę do miasteczka Baligród, ta urąga wszelkim pojęciom cywilizacyjnym a przecież to droga przez którą lud z Zubeńka, Rab, Smolnika, Woli michowej jedzie do miasteczka, siedziby sądu powiatowego, siedziby urzędu podatkowego i na jarmarki. Nie wiem jakby na to zapatrywał się Marszałek krajowy, gdyby raz zlustrował powiat liski a w szczególności przejechał się drogą w góry przez Smolnik, Wolę michową, Baby do Baligrodu a to przecież szmat kraju, który równie jak inne, jego pieczy podlega, a który po macoszemu tak jest traktowanym.

Nie mogłem się wstrzymać od wypowiedzenia tych uwag, bo mi żal moich rodzinnych miejsc, tak zaniedbanych i zapomnianych przez ojców narodu.

Stosunki łowieckie w tym zakątku kraju uległy zupełnej zmianie. Za moich młodzieńczych lat, głos lutni, zagraja, lotki, śpiewaka i t. p. gończaków, unosił myśliwego w krainy szczęśliwości a echo gór muzykę tę podwajało; myśliwy nie znał przeszkód żadnych, nie uważał, że może dostać zapalenia osierdzia, zapalenia, lub rozdęcia płuc, na odgłos tej muzyki przeskakiwał z szybkością sarny parowy, potoki i kłody i starał się przebiedz drogę zwierzynie gonionej; dzisiaj, rolę gończaków w tropieniu zwierzyny a raczej w tropieniu wysokiego strzałowego do zwierzyny obejmują właściciele rewirów łowieckich, wyszukując ostoi jeleni i prowadząc do nich Prusaków, Bawarczyków, Francuzów lub Saksończyków. Psy gończe zeszły dzisiaj do rzędu łańcuchowych psów, strzegących domu

przed złodziejem, bo skoroby wychylił trąbę poza granice zagrody, już sąsiad tropowiec ze sforą gajowych czyha na wytracenie tej dawnej ozdoby dworów szlacheckich, która na odgłos trąbki myśliwskiej zbiegała się w kupkę a wzniósłszy trąby do góry, wtórowała myśliwskiemu rogowi.

W chwili mego pobytu w powiecie liskim, zawiązało się w Lisku kółko myśliwskie, na którego czele stanął Hr. Krasicki, wśród Wydziału, złożonego z łowców, ożywionych najlepszemi chęciami. Kółko to wpłynie dodatnio na stosunki łowieckie tamtego zakątka, byleby i właściciele rewirów Podkarpacia i Beskidu wspierali usiłowania tego nowego towarzystwa. Hr. Krasicki prawdziwie po obywatelsku, pojmuje stanowisko swoje jako Prezes naszego towarzystwa, odstępując towarzystwu wiele własnych terenów łowieckich; oby w ślady jego wstępowali i inni obywatele a wykurzając z naszego kraju intruzów, cieszylibyśmy się sami skarbami fauny naszej.



Jeleń w górach Beskidu, jest jak mi opowiadano tylko gościem po naszej stronie, przybywającym ze strony Orawskiej z Węgier na naszą stronę z wiosną i wracającym na zimę do Węgier. Gdyby, jeleniowi podanu tu dostatecznie karmę i lizawki, stale trzymałby się naszej strony. Nie wiem co było powodem, że poprostu rykowiska w tym roku nie było, słabe tylko i głuche pobekiwanie odzywało się, lecz rykowiska we właściwem tego słowa znaczeniu nie było. Co do tego, były zdania rozmaite, jedni myśliwi utrzymywali, że powodem tego było nadmierne, spekulacyjne wybicie starych byków, drudzy twierdzili, że niezwykłe o tym czasie ciepło przewlokło rykowisko na później.

Nie słysząc ryku jeleni, musiało się po polach i mokrych nizinach leśnych wyszukiwać tropów jelenich i stawać na przesmykach; szczególniejszej łasce św. Huberta zawdzięczał myśliwy, który tym sposobem do strzału przyszedł; wybrańcem takim był mój syn starszy, który na przesmyku ubił ośmnastaka, idącego w towarzystwie 5 łań i cielaka.

Jeleń nawet na wabienie nie odzywał się, a według relacyi z Węgier, tam ryczały i kilka ich ubito w rewirach graniczących z Galicyą.

Prawda i to, że jeleń lubi spokój, na Węgrzech trzy miesiące przed rykowiskiem w dobrach księcia Reuss, był pod karą śmierci spokój nakazany, a na naszej stronie żyd ten odwieczny wróg lasu, cały rok w tym lesie tłucze się jak Marek po piekle, słychać ciągle uderzenia siekiery o pień i spadanie z łoskotem zrąbanego buku lub jodły; jeleń do tego hałasu nie może nawyknąć i idzie, zwłaszcza na miodowe chwile do ciszy, nic więc dziwnego, że go tu gęsto nie ma podczas rykowiska. Drugim powodem jest paszenie bydła po zrębach; jeleń bydła się nie boi, lecz pastuchy na widok jelenia krzyczą, hałasują i przepędzają go a paląc ognie z daleka, drażnią jego wybredny i delikatny zmysł powonienia, każący mu się domyślać obecności człowieka z którym nie rad się schodzi.

Spotykało się już w górach i słonki, jest nadzieja, że i do nas na niziny zawitają niebawem, czy w masach wielkich do nas zlecą, niedaleka przyszłość okaże, tymczasem kopiemy kartofle i z wielką mozołą rozbijamy grudę, aby módz ozime zasiewy uskutecznić. Kartofle nie tęgo się urodziły, lecz zato gęsto zając z nich wyskakuje; ten rok tak sprzyjał rozmnoży, że jeszcze obecnie spotyka się młode zajączki; chociaż ich tego roku jest tak wiele, to jednak nie mogę darować jednemu wujowi, który siostrzeńcowi z Teresianum, pozwolił już 15-go września wbrew ustawie ubić jednego zajączka. Na interpelacyę, dlaczego to zrobił odpowiedział mi, „żal mi było chłopca, który wszystkie rodzaje zwierzyny miał już na rozkładzie, nawet zdechłego wieprza a zająca jeszcze nie miał, bo musi wracać do szkół podczas czasu ochrony zająca“.

Jeden z młodych myśliwych i to nawet correct, dał się unieść żyłce gorącej i już 25 września uszczuł chartami 3 zające. W pierwszym wypadku zaznaczono tylko, że czuły wuj nie pedagogicznie młodzież prowadzi, pozwalając na nieuszanowanie ustawy a w drugim wypadku myślę, że młodzieniec ten musiał mieć także kiedyś czułego wujaszka, który pozwolił na lekceważenie ustawy łowieckiej.

Posyłam przy tej sposobności odbitkę obiecaną kozła, przezemnie ubitego o czterech rogach.

Czarkowski i Golejewski.

Nowy Sącz dnia 6. października 1905.

W numerze 18 Szanownego pisma zamieszczono na stronicy 216 i następnych korespondencyę p. Jana Hr. Stadnickiego, właściciela dóbr w Rożnowie (powiat nowosądecki), której jeden ustęp, a mianowicie sprawozdanie p. Franciszka Bieniasza (Fr. B.), byłego administratora wymienionych dóbr krzywdzi mnie, przytaczając okoliczności i fakty, zgoła nieprawdziwe i mojej dobrej sławie dotkliwą ujmę czyniące. Upraszam zatem uprzejmie Szanowną Redakcyę o zamieszczenie w najbliższym numerze następującego sprostowania, względnie wyjaśnienia sprawy, jeżeli „już nie w myśl zasady audiatur et altera pars“, to przynajmniej na podstawie §, 19 ustawy prasowej *).

---

*) Sprostowanie to umieszczamy, nie zmieni ono jednakowoż fatalnej opinii, jakiej zażywają stosunki łowieckie w tamtejszym powiecie a szczególnie w okolicach Rożnowa. Wiadomem nam jest również, ile czyni właściciel Rożnowa dla myślistwa i jaką troskliwą opieką otacza swoją zwierzynę. Alegaty załączone do ostatniej Jego korespondencyi mówią za siebie, dając wymowne świadectwo tamtejszym myśliwym i stosunkom łowieckim i nie potrzebują żadnych komentarzy. P. R.

I tak: Nie jest prawdą, że kilku myśliwych ze mną na czele polowało przez cały rok w dnie powszednie i święta na terytoryum „Roztoka-Brzeziny" i to od rana, do nocy, albowiem w sezonie 1903/4 i 1904/5, w którym prawo polowania na tym obszarze do mnie i spólników należało, polowaliśmy rocznie tylko trzy razy i tylko w dnie powszednie.

Z tej ogólnej liczby polowań, polowaliśmy dwa razy przy współudziale p. Franciszka Bieniasza.

Następnie nie jest prawdą, aby las Roztocki obejmował tylko 300 morgów krzaków, albowiem obszary: dworski i gminy w Roztoce, na których prawo polowania dzierżawiliśmy, obejmują 1291 morgów i 752 sążni kwadratowych obszaru, z czego same tylko krzaki, graniczące z gołymi zrębami Rożnowa, obejmują około 800 morgów.

Terytoryum zaś powyższe w całości składało się z lasu, krzaków i pola ornego. Nie jest dalej prawdą, aby całymi dniami kilka psów gończych niepokoiło lasy Rożnowskie, i abyśmy stojąc blisko granicy bili co się dało, jak za dawnych czasów, kiedy jeszcze ustawy łowieckiej nie było, albowiem polując z psami, zajmowaliśmy stanowisko wewnątrz kniei w ten sposób, że najbliższe stanowisko znajdowało się nie bliżej jak 600 kroków od granicy rożnowskiej. Ponadto o każdem polowaniu zawiadamialiśmy listownie, lub ustnie administracyę lasów rożnowskich a podczas polowania obstawiali zawsze granicę leśni dóbr rożnowskich.

W obec tego nie jest prawdą, abyśmy się oddawali kłusownictwu i zarządowi lasów rożnowskich szkodę czynili, albowiem zgodnie z faktycznym stanem rzeczy wyjaśniam, iż goniona przez psy zwierzyna, krążyła zawsze po terenach roztockich i rzadko kiedy za granicę wychodziła.

Strzelaliśmy zaś zawsze tylko zwierzynę łowną. Na dowód przytaczam dosłowny odpis potwierdzenia odbioru postrzałka, ujętego przez psy za granicą. Potwierdzenie to, które znakomicie illustruje postępowanie i takt p. Bieniasza, przyniósł nam posłaniec, który przyprowadził także psa naszego schwytanego przy postrzałku. Oto ten dokument: „Dzień dobry — Kozła ogromnego myłkusa proszę panów nie szukać, bo już na saniach. Psy proszę trzymać w swoim lesie, teraz darowałem, drugą razą każę pobić do jednego i to stanowczo, gdyż za dużo mi z nimi stało. Z poważaniem — Bieniasz".

Nie jest prawdą, abyśmy za psy chwycone przez leśnych rożnowskich nie dawali tymże wynagrodzenia za fatygę przy odprowadzaniu, gdyż tylko ten jedyny, jeden już wspomniany raz zatrzymano nam psa i odesłano, za co dałem leśnym napiwek (2 korony).

Okólnik Starostwa na który się p. Bieniasz odwołuje, nie mógł się do nas odnosić, albowiem nie byliśmy dzierżawcami małych obszarów myśliwskich, gdyż, mieliśmy prawo polowania w gminach: Roztoka, Trzycież, Swierkla, Długołęka, Zabełcze, Januszowa, Naściszowa, Grabowa, Kwieciszowa, Bobków, Łęka, Librantowa, Klimkówka i Gródek nad Dunajcem (obszary dworskie i gminne) o łącznym obszarze przeszło dziesięć tysięcy (10000) morgów a nadto do postanowienia tego okólnika i w ogóle ustawy łowieckiej, jako rzeczywiści myśliwi, zawsze ściśle się stosowaliśmy.

Nie jest dalej prawdą, aby leśny Strug, zabił psa mojego jako rzekomo „wałęsającego" się w odległości kilkuset kroków od granicy, albowiem: 1) o polowaniu uwiadomiliśmy naprzód zarząd lasów rożnowskich, więc „wałęsania się" być nie mogło, 2) psa zastrzelonego przez leśnego Struga, zastano w odległości tylko 66 kroków od granicy, a leśny, bojąc się odpowiedzialności za bezprawne zastrzelenie, wyparł się w obec nas, aby psa zastrzelił i przyznał to dopiero na rozprawie sądowej, której tok i wynik p. Bieniasz z dziwną nonszalancyą krytykować się ośmiela.

Nie jest wreszcie prawdą, aby ktokolwiekbądź z administracyi dóbr rożnowskich odnosił się do nas, czy to ustnie, czy pisemnie z prośbą o zaniechanie polowania z psami.

Z poważaniem
Jan Gargula.

Czernichów, 7. października 1905.

Zrażony uwagą p. X. w piśmie Szan., że nie umiem trafnie przyrody obserwować, gdyż wyraziłem w pewnym artykule zdanie, dajmy nato: jakoby mała łasica mogła zamordować większe od siebie zwierzę, którego ani pożreć, ani unieść nie zdoła, powinienem złamać me pióro i nie pisywać więcej, do „Łowca" przynajmniej. Zadrukowałem jednak w mem życiu tyle setek arkuszy, przeto dla przygodnych krytyków, pisarzy - wolontaryuszy pobłażliwym być umiem, pocieszając się w najgorszym razie tem, co pewien wielki powieścio-pisarz napisał o wyżłach i pisarkach, pnących się zbyt poufale ku naszym zamiarom.

Miłą dziś wieścią chcę się podzielić z towarzyszami broni. Takiego urodzaju jak tegoroczny na kuropatwy, bażanty i zające najstarsi Nemrodzi nie pamiętają w naszym nadwiślańskim zakątku. Natomiast ptactwo błotne i wodne na nas nie łaskawe. Łatwiej dziś u nas zastrzelić na ciągu kulona (padło ich już 4) niż przy psie nawet ubić kaczkę, kszyka lub dubelta.

Tutejszy posterunek c. i k. żandarmeryi rozwinął chwalebną działalność. (Niestety komendant już zmieniony). W maju b. r. złapano w Przegini Narodowej kłusownika in flagranti z świeżo zastrzelonym zającem w ręku. Cztery miesiące więzienia uczynią prawdopodobnie na tym złoczyńcy pożądane wrażenie. Ponadto kilku kłusownikom odebrano strzelby, a powołane władze wymierzyły im odpowiednią karę aresztu. Chwalebne usiłowania władz popierających nasze starania o podniesienie zwierzostanu paraliżują niestety ludzie, którzy nie znając ustaw i nie rządząc się etyką nawet wskazaną przez sumienie przyjmują lub kupują kradzioną nam zwierzynę od złodziei w darze lub kupnie! Ta plaga najuporczywsza to i najtrudniejsza do wykorzenienia!

Ponieważ łamy „Łowca" mają służyć do publicznego przedyskutowywania trudniejszych kwestyi z zakresu łowiectwa, przeto pod sąd doświadczonych Nemrodów oddaję kwestyę, która mi jako prezesowi „Spółki łowieckiej Czernichów" wiele chwil niemiłych zgotowała. Czy na polowanie z nagonką na kuropatwy i bażanty wolno brać każdemu z myśliwych psa swego? Czy na takich polowaniach jest pora stosowna do próbowania psów młodych w ich cierpliwem wylegiwaniu u nóg swych panów? Mem zdaniem odpowiedniej zbarczone kuropatwy i bażanty zbierać przy pomocy pewnego psa dopiero po upływie dwu lub trzech godzin, a psy w wielkiej liczbie zebrane psują tylko zbiorową zabawę, wpadają w mioty nie brane jeszcze, najcnotliwsze wyżły nawet niezcierpliwione kilkogodzinnem ich unieruchomieniem skowyczą, a podlejsze unoszą się nawet za zającem. Kto nie ma pewnego strzału do bażanta lub kuropatwy, niech się wstrzyma od strzału, a postrzałków będzie bardzo mało i nie będzie potrzeby wodzenia

ze sobą całej psiarni... Być może, że się mylę, dlatego wszystkich powołanych towarzyszy z pod chorągwi Św. Huberta o zdanie proszę.

Spółka nasza myśliwska miała zamiar rozszerzyć swe tereny przez zadzierżawienie sąsiedniego terenu gminnego we wsi Wołowice. Chociaż oferta nasza była wyższą niż p. W. gmina polowania tego terenu nam nie przyznała Inaczej na tę sprawę zapatrywało się c. k. Starostwo w Krakowie, skąd zrodził się rzecz prosta rekurs do c. k. Namiestnictwa. Że rekurs ten nie mógł natychmiast być załatwiony, rozumiemy dobrze, musi tych rekursów być nie mało po tegorocznych licytacyach terenów gminnych, nie rozumiemy natomiast zupełnie jakiem prawem gmina Wołowice mogła pobrać czynsz dzierżawny za rok bieżący od p. W., któremu starostwo dzierżawy nie zatwierdziło. Być może, że my otrzymamy ten teren, lecz teren obecnie już dokładnie opolowany, przez rok lub dwa nie będzie przedstawiał żadnego zainteresowania... Pan referent prawniczy „Łowca“ nie nam tylko zdaje się, lecz i innym interesowanym przysłuży się wielce wyjaśniwszy tę kwestyę, czy nie zatwierdzonemu dzierżawcy terenu przysługuje prawo wykonywania polowania przed załatwieniem na jego korzyść rekursu?

Oczekując szeregu wyjaśniających odpowiedzi, jakie po wydrukowaniu mych tych kilku zdań spodziewam się ujrzeć w „Łowcu“, jedno jeszcze ubolewanie wyrażam, nadarmo w ogłoszeniach „Łowca“ szukamy wieści o puhaczu na sprzedaż, a radzibyśmy go nabyć.

L. M. Dziama.

Kraków, 8. października 1905.

Do Szanownego Wydziału Galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego we Lwowie.

Zaszczytną godność i obowiązki delegata galic. Tow. Łow. na powiat krakowski, poruczone mi przez Szanowny Wydział Towarzystwa przyjmuję i będę się starał praw, jakie ta godność nadaje, użyć do jak najwydatniejszego działania w sprawie naszego łowiectwa.

Będąc zamiłowanym myśliwym, chwytałem zawsze każdą sposobność działania w kierunku dodatnim dla tej ważnej gałęzi gospodarstwa krajowego, z którą nas myśliwych wiąże oprócz pożytku ogólnego jeszcze wdzięczność za chwile prawdziwej i szlachetnej rozrywki. Poluję, jak na mieszczucha, dosyć, bywam na lichych i świetnych polowaniach, gdzie sam nie jestem, są moi znajomi, należę do kilku t. zw. spółek myśliwskich i w krakowskim i sąsiednich powiatach — dawno już napędzam sam siebie, dawno już „piłuję“ rozmaitych powołanych i niepowołanych, by coś więcej w sprawie łowiectwa a i Łowca także robili, nie wzywany jeszcze przez Szanowny Wydział i tak ciągle, o ile tylko była sposobność, propagowałem i Towarzystwo i Łowca i nowo utworzony Klub hodowli i tresury psów myśliwskich; robiłem trochę na własną rękę, choć z niejedną rzeczą można i trzeba było z Wami się podzielić. O ile mi czas pozwoli, będę się już starał poprawić.

Jedna rzecz szczególnie ciąży mi na sercu i wyrzucam sobie wprost, że nie zwróciłem wcześniej na to uwagi Towarzystwa — odkładałem z dnia na dzień wśród pracy. — Chociaż dzisiaj jestem niejako z pierwszą wizytą u Szanownego Wydziału i nie powinienem za długo może się rozpisywać, nie chcę jednak odkładać już dłużej tej sprawy, skoro mam pióro w ręce. Rzecz to właściwie Klubu hodowli i tresury psów myśliwskich, ponieważ jednak Szanowny Wydział ma tam swoich członków, myślę więc, że uwaga, jaką zrobię, dojdzie gdzie należy.

Ile psów sprowadziłem w ciągu kilku ostatnich lat z Niemiec, ile za nie zapłaciłem (!), czego przytem nie doświadczyłem i nie przeżyłem, co się natrapiłem, tego nie myślę pisać, na to trzeba wołowej skóry.

Były z rodowodami, były i bez, były bardzo dobre, były i bardzo wielkie gałgany, z ogonami i bez ogonów i t. d. i t. d., u wszystkich prawie jednak zauważyłem albo zupełny brak, albo bardzo słabo rozwinięty a właściwie jak przypuszczam z n i s z c z o n y popęd płciowy. Rzecz to dla hodowli pierwszorzędnej wagi, gdyby psy, które Klub hodowli i tresury psów myśliwskich zakupi, okazały się niezdatne do rozpłodu. Nie myśląc psów sprowadzonych przezemnie używać jako reproduktorów, mało zwracałem początkowo na to uwagi i zadowolony byłem nawet, że pies nie włóczy mi się za sukami i nie ucieka z domu; zauważywszy to jednak u kilku z rzędu a szczególnie u tego, którego mam obecnie — psa bardzo wysokiej ceny — którego dla nadzwyczajnych zalet myśliwskich i niepospolitej piękności, chciałem użyć jako reproduktora — wpadłem w pasyę.

Nie przypuszczałem tej niegodziwości, w którą obecnie wierzę, że właśnie najpiękniejsze okazy, po najlepszych psach, j e ż e l i s ą p r z e z n a c z o n e n a s p r z e d a ż, robią Niemcy niezdatnymi do rozpłodu. Że taką rzecz bez widocznych zmian w narządach rozrodnych sprowadzić można, wiadomo.

Tak jak psa dla polowania nie powinno się nigdy, b e z w a r u n k o w o kupować bez próby, tak samo dla hodowli po tych doświadczeniach nie kupiłbym nigdy psa, nie widząc przedtem, ż e p o k r y ł i z a p ł o d n i ł sukę. Jeżeli Panowie, uproszeni do zakupna reproduktorów, zwrócili na to uwagę, bardzo się będę cieszył i mniej martwił z mego zaniedbania — jeżeli zakupno jeszcze nie uskutecznione, a nie podejrzewają tej niegodziwości, proszę Szanowny Wydział zwrócić Im na to uwagę — szkoda by było paru tysięcy. Kupujący psy winni wziąć sobie za zasadę, b e z w a r u n k o w o n i e w i e r z y ć N i e m c o w i, żeby palce na krzyż składał, o wszystkich zaletach, jakich się od psa wymaga, przekonać się tak, aby żadnej wątpliwości ulegać nie mogły, żadne reklamacye do niczego potem nie doprowadzą, feniga z ręki nie popuścić, dopóki się nie wie, co się kupiło. Niemiec jest zdolny reklamować psa bez najmniejszej wartości do połowy ceny, za którą chce go sprzedać.

Jeżeli Szanowny Wydział uzna poruszenie tej kwestyi w „Łowcu“ za stosowne dla ostrzeżenia członków, którzyby ewentualnie na swoją rękę chcieli sprowadzać reproduktory z Niemiec, proszę zrobić użytek z niniejszego pisma. Skoro zwróciłem na to uwagę i zacząłem badać między znajomymi, znalazłem potwierdzenie moich podejżeń, ku wielkiemu żdziwieniu właścicieli sprowadzonych psów.

Wypadki takiego uszkadzania psów, o ile doświadczenie moje mię poucza, trafiają się częściej przy kupnie psów kosztownych, trafiają się częściej przy kupnie z tak zwanych „z w i n g e r ó w“ t. j. od hodowców psów na wielką skalę, aniżeli przy kupnie od personalu łowieckiego, właśnie dlatego, że te „zwingery“ rozporządzają pierwszorzędnymi, słynnymi reproduktorami, o których potomstwo są zazdrośni. Mógłbym pół „Łowca“ zapisać tem, co ja z tymi ludźmi doświadczyłem, bo mając szczególnego pecha z psami, (dwa kosztowne zabił mi tramwaj elektry-

czny, inne znowu chorowały, ciągle musiałem sprowadzać nowe psy), ile ja im psów nie naodsyłałem, ile przyjemnych rzeczy my sobie nieraz nie napisali — wyniosłem jednak z tego takie doświadczenie, że żadnemu nic nie wierzę.

Broń Boże, by ktoś chciał kupić psa bez próby lub za pobraniem należytości, ktoby w tym wypadku nie „wpadł“, niech gra w loteryę. Może przecież przyjdzie kiedyś czas, że nie będziemy potrzebowali sprowadzać psów od Niemców, żeby tylko nasz personal łowiecki chciał trochę pracy w to włożyć, my przecież po miastach ani czasu, ani możności ku temu nie mamy.

Przepraszam, gdy wynudziłem trochę może, ale tak przy słotnej niedzieli, zabrałem się do podziękowania za obdarzenie mnie godnością delegata a złożyła się długa epistoła. O ile będę mógł, będę się starał z mego urzędu wywiązać — powiat nasz nie najgorszy, warunki dla podniesienia stanu zwierzyny nie najgorsze, wszędzie gdzie o nią dbają, widoczne są piękne rezultaty łożonej pracy i kosztów, coraz liczniej organizujące się spółki myśliwskie, uprawiając łowiectwo racyonalnie, z myślą o przyszłości, wróżą znaczną poprawę stosunków łowieckich na coraz większym obszarze naszej pięknej ziemi, wcale nie macochy dla zwierzyny.

Z poważaniem
Dr. Wernikowski.



Sprawy Towarzystwa.

Z klubu hodowli i tresury psów myśliwskich.

Komitet Klubu na posiedzeniu odbytem 23. października po długiej i wyczerpującej dyskusyi postanowił:

1. Zakupić w Czechach kilka szczeniąt z różnych i najlepszych gniazd rasy nowo-niemieckiej, które mogłyby służyć w przyszłości na materyał rozpłodowy.

2. Zdać sprawę z swej czynności Wydziałowi Gal. Towarzystwa Łowieckiego na najbliższem posiedzeniu tegoż Wydziału i żądać zwołania Walnego Zgromadzenia Klubu.

3. Zamieścić w jednym z najbliższych numerów Łowca gorącą odezwę do ogółu myśliwskiego celem zjednania większej liczby członków.

Do klubu wpisali się w dalszym ciągu:

Jako członkowie założyciele:
Skrzyński Antoni

Jako członkowie zwyczajni:
Gottwald Antoni
Dr. Bielański Gustaw
Dr. Màtyàs Karol
Komornicki Wojciech
Baczyński Franciszek
Dr. Wernikowski Wiktor
Kółko myśl. w Krynicy.
Schmid Stanisław

Zapisali się w poczet członków Towarzystwa:

Hofmokl Stanisław
Kobylański Stanisław
Köller Aleksander
Komierowski Konstanty
Kuzian Włodzimierz
Łoś Hr. Justyn
Orski Stanisław
Pisz Józef
Roehr Ludwik
Rozwadowski Jordan Wiktor
Tokarz Stanisław
Tschapek Franciszek
Wydział wzaj. pom. słuchaczów leśnictwa
Zborowski Hr. Jan.

KRONIKA.

Stado kuropatw ofiarą katastrofy. Ciekawą rzecz opowiada korespondent pewnego niemieckiego czasopisma: Z cierni z przed myśliwych w dzień mglisty jesienny zerwało się stado kuropatw i pomknęło ku linii kolejowej. Przelatując po nad nią, wpadłszy na gęste druty telegraficzne, cało stado jakby piorunem rażone upadło na ziemię. Jedna tylko kuropatwa zdołała wyjść z życiem z tej strasznej sieci. Myśliwi przybiegłszy na miejsce katastrofy, podnieśli z niego 11 kuropatw, z których 7 nie dawało już znaku życia.

Siła niedźwiedzia. O ciekawym wypadku dającym pojęcie o sile misia pisze w Wild u. Hund kapitan August von Spiess z Hermanstadtu. W pobliżu tego miasta w rewirze zwanym Grinz zasiadł niejaki Piotr Damaskin, włościanin, dzielny strzelec, na dziki, które w polach wielkie robiły szkody. Noc była księżycowa, pogodna i cicha. Około godziny w pół do 2 w nocy, właśnie w chwili gdy księżyc za chmury się schował, usłyszał Damaskin łomot i trzask suchych gałęzi, a wśród zwalisk starych kłód przesunęło się koło niego czarne cielsko, do którego on na bardzo bliską metę wypalił, w przekonaniu, że strzela do dzika. Jakie było zdziwienie Damaskina, gdy na drugi dzień poszukując zdobyczy po tropach przekonał się, że miał w nocy z niedźwiedziem średniej wielkości do czynienia. Wziął się więc do energicznego szukania, co nie było rzeczą łatwą, bo gąszcz była wielka i liściasta. (Było to w lipcu 1900). Wtem usłyszał za sobą wielki łomot i ryk niedźwiedzia, który ranny pod kłodą leżał i nim miał czas się obrócić, niedźwiedź chcąc go widocznie dosięgnąć zdarł mu strzelbę z pleców i wraz z nią runął na ziemię. Damaskin pod siłą tego szarpnięcia upadł również a zerwawszy się co prędzej ujrzał dogorywającego niedźwiedzia trzymającego w objęciu nieszczęsną strzelbę. Gdy ją wziął w rękę, przekonał się o zupełnem jej zniszczeniu; łoże było strzaskane a lufy z damastu były w dwóch miejscach zupełnie wgięte i literalnie na wylot przegryzione.

By mnie nie posądzono o „humbug“ — kończy autor — „przedstawiam czytelnikom fotografie, jedną Damaskina, drugą przez niedźwiedzia przegryzionych luf“.

I rzeczywiście widzimy przy tym artykule umieszczone obie w mowie będące fotografie.

Dnia 5. października zeszłego roku w Bośnii w okręgu Bjelasnica stała się rzecz niesłychana. W biały dzień wpadł ogromny wół rycząc strasznie do wioski Rokitnica, mając ogromnego niedźwiedzia na swym karku.

Mieszkańcy rzucili się z krzykiem i spłoszyli misia, który ogromny kawał mięsa z boku swej ofiary wyrwawszy, uciekł z nim w pobliskie góry.

Wół został dobitym i zatrutym, a ścierwo jego złożono w pobliskich lasach celem ukarania śmiałka; lecz nadaremnie, niedźwiedź nie dał się oszukać i więcej się nie zjawił.

Stosunki łowieckie w okolicy Kairu. Myli się ten kto sądzi, że tam u stóp piramid nad brzegami spokojnych wód Nilu, znajdzie Eldorado myśliwskie.

W okolicy Egiptu nie ma prawie zwierzyny, co było, od krokodyla do szakala wystrzelali Anglicy. Jedyną jeszcze możliwą wycieczką, która się udać może, to wycieczka na ptactwo błotne w czasach przelotu, ale na to trzeba się wybrać w okolice dalsze, co znowu jest ogromnie kosztowne; samemu przewodnikowi płacić trzeba około 50 kor. dziennie.

Brzegi rzek i jezior roją się wtedy od flamingów, ibisów, kaczek, gęsi, kulonów i innych ptaków, ale zabicie, którego z nich jest dziełem przypadku, gdyż na całej przestrzeni, jak okiem sięgnąć, nie ma jednego pagórka, lub krzaczka, za którym by myśliwy się mógł ukryć.

Natomiast w moczarach spotyka się mnóstwo kszyków i dubeltów. Najodpowiedniejszy czas na nie jest początek wiosny. Jeden myśliwy opisuje w „Mittheilungen des n. östr. Jagdschützvereines“, że w 4 dniach zabił tam ze swym towarzyszem 700 bekasów i rozmaitych drapieżnych ptaków, a koło Damietty w Delcie nilowej w jednym dniu marcowym 145 kszyków i dubeltów prócz mnóstwa wspaniale upierzonych ibisów. „Ile tam śrótu wystrzelają“, — powiada ten myśliwy — „można sobie wyobrazić, jeżeli powiem, że na całej tej ogromnej przestrzeni co 20 kroków znajdywałem leżące na ziemi wystrzelone hilzy, a ze wszystkich stron dochodziły mnie odgłosy strzałów.

Ulubionem także jest tam polowanie na przepiórki, które już w pół lutego się zaczyna.

Co do łowów na czworonogi, to te są najtrudniejsze do przeprowadzenia, wymagają bowiem już bardzo dalekiej i kosztownej ekspedycyi a kończą się zwykle zupełnem fiaskiem.

W najlepszym razie można się wtedy spotkać z rysiem pustynnym lub egipskim wilkiem. Zresztą i takie nawet ekspedycye są prawie nie możliwe, gdyż wszyscy przerodnicy t. z. S i k a ż e są wyłącznie na usługach znajomych już im Anglików, a najmniejsza wyprawa bez przewodników jest niepodobieństwem.

Rezultat pierwszych międzynarodowych popisów wyżłów angielskich w polu, urządzonych staraniem międzynarodowego klubu hodowli psów angielskich w Wiedniu.

Dnia 23. i 24. września odbyły się zapasy 15 psów (pointerów, setterów angielskich, islandzkich i szkockich) w rewirze księcia Ipsilanti w Judenau, Austrya dolna. Jako sędziowie urzędowali Mr. Sodenkamp, redaktor „Chasse et Pèche“ z Brukseli, rotmistrz v. Szabo i hr. Münster-Langelage.

Pierwsza serya biegów odbyła się według zasad „Field Trial“, druga według reguł „Feldgebrauchsuche“. W obu seryach zwycięstwo odniósł (dwie pierwsze nagrody po 300 kor.) pointer urodzony 24. czerwca 1904 r., „Rock-Kujavia“ chowu prof. Dr. L. Marchlewskiego z Krakowa, bijąc słynne seterki szkockie p. Towarnickiego i pointery p. Godderidgea, sprowadzone z Anglii z psiarni pp. Arkwrighta i Bishopa. „Rock“ pochodzi z „Fit of Hanva“ po „Lord Robert of Radcliffe“ i był własnością słynnego tresera J. Sétaffyego. Pan S. sprzedał „Rocka“ zaraz po popisach p. Godderidgeowi za 1200 koron.

Fakt, że do startu stanęło 15 psów, świadczy, że zainteresowanie się psami ras angielskich znów wzrasta; niektóre koła kinelogów przekonały się jednak, że Anglicy mają racyę twierdząc, że wyrobienie rasy „Mädchen für alles“, o której marzą Niemcy, jest rzeczą niemożliwą.

Zmiana płci u ptaków. Jeden z numerów rzymskiej „Tribuny“ podaje wiadomość tak zdumiewającą, że łatwo możnaby ją poczytać za kaczkę dziennikarską, zwłaszcza, że ukazała się w porze, najbardziej pojawianiu się kaczek sprzyjającej, gdyby nie to, że związanem jest z nią nazwisko słynnego profesora Grassi, który oddał laboratoryum swoje do rozporządzenia wynalazcy. Wynalazek ów polega na zmienianiu dowolnem płci u ptaków, specyalnie zaś u kur, nad któremi to najwięcej obserwacyi poczynił Francesco Rocchi, młody samouk, który skończył zaledwie szkołę elementarną i niedawno właśnie przybył do Rzymu do prof. Grassiego, z zamiarem zademonstrowania przed nim swych doświadczeń. Znalazł on już protektorów, pomagających mu materyalnie, a przez to dających mu możność doskonalenia badań przeprowadzanych. Rocchi utrzymuje, że z biologicznego punktu widzenia, płeć istnieje tylko jedna — męzka, jako prototyp, żeńska zaś jako pochodnia, powstała z pierwszej. U kręgowców płeć nie przedstawia zjawiska idealnie stałego i nawet już w razie zaznaczenia się w pewnym kierunku, przetworzyć ją można w inną. W wypadku tym płeć — prototyp przechodząc przez szereg cały form hermafrodycznych, zmieniając się ustawicznie, przejść może mniej lub więcej całkowicie od prototypu, to znaczy płci męzkiej, do płci żeńskiej, pochodniej. Przetworzenie zaś płci żeńskiej — pochodniej w męzką pierwotną, jest niemożliwe. Rocchi utrzymuje, że osiągnął on znakomite rezultaty, powiodło mu się bowiem przetworzenie płci u 224 indycząt na ogólną liczbę 230; obecnej zaś wiosny z 75 kurcząt jedno tylko nie poddało się transformacyi. Pracuje on zresztą już od lat kilku nad wynalazkiem, zapewniając, że jest tak prostym, jak jajko Kolumba conajmniej. Wynalazek swój Rocchi oddał w zapieczętowanej kopercie prof. Grassiemu, który z kolei przesłał go znowu z pieczęcią swoją Akademii dei Lincei, pozostawiając Rocchiemu sto kurcząt do badań i transformacyi, poznaczywszy je wszystkie uprzednio. Rocchi utrzymuje wreszcie, że przetwarzanie samców w samice możliwem jest u wszystkich kręgowców, wybrał on jednak kury, głównie ze względów praktycznych, zaznaczając nie bez słuszności, że jeśli hodowca będzie miał pewność, iż zakład dawać mu będzie 96 kur na 100 kurcząt, to praca okaże się znacznie produktywniejszą. Kury wyhodowane za pomocą transformacyi, niosą się absolutnie tak samo, jak zwykłe i w tejże ilości, jajka tylko podobno są nieco mniejsze.

„Tribuna“ jest poważnem pismem włoskiem i chociaż wiadomość powyższa nie wygląda na rzecz seryo, notujemy ją jednak dla uzupełnienia obrazu; co i gdzie się pisze o rzeczach, mających pewien związek z myślistwem.

(Łowiec polski.)

Drobne ogłoszenia i inseraty.

Kto ma na zbyciu **wyżła** (psa), raczy donieść podpisanemu. Warunki: 1. spokojny temperament, 2. chętnie szukać, 3. cierpliwie wystawiać, 4. po strzale nie gonić, 5. zającem gardzić, 6. ludzi nie napastować, 7. posłuszeństwo. Bronisław Rozwadowski, Turówka p. Tarnoruda.

Kupię wyżła dobrze ułożonego w 2-giem lub 3-ciem polu anglo-czeskiej rasy lub settera, inżynier Szczurkiewicz, Pilzno.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**